

Sny, mary i koszmary

Mulholland Driver, reż. Katarzyna Trzaska, Edyta Wróblewska, Maciej Marczewski, Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu

W filmach Davida Lyncha największe wrażenie robi specyficzna atmosfera: oniryczna, zagadkowa, mimo pozorów swojskości – złowroga. Wywołująca paradoksalnie przyjemne poczucie niepokoju.

Ich charakterystyczny nastrój, koincydencja zdarzeń czy pojawiające się postaci z pogranicza jawy i snu zawsze zapadały mi w pamięć w dużo większym stopniu, niż pokręcone fabuły. Intrygujące kadry, scenografia i nastrojowa muzyka oddziaływały na emocje i współkształtowały moją wrażliwość. Nie było to chyba przeżycie indywidualne, a rodzaj doświadczenia pokoleniowego. Już w latach wczesnej młodości z wypiekami na twarzy czekałem na kolejne odcinki serialu *Twin Peaks*, w roku 1991 emitowanego przez Telewizję Polską. Oglądane przeze mnie później filmy reżysera *Głowy do wycierania* odsłaniały mroczne zakamarki ludzkiej natury, zmuszając do zastanawiania nad niejednoznaczną aksjologią pozornego spokoju amerykańskiej prowincji. Prowokowały do zastanowienia nad znaczeniem przypadku i źródłami impulsów popychających ludzi do działania. Pojawiające się w czasie oglądania filmów takich jak *Zagubiona autostrada* wrażenie opresji miało moc wywoływania duszności na kinowych widowniach; uczucie podskórnego lęku sprawiało, że niektórzy z widzów wstrzymywali oddech.

Lynchowska estetyka, chociaż z pewnością kusi teatralnych twórców, wykorzystywana jest przez nich głównie na prawach pastiszu. Poza wrocławską prapremierą operowej wersji *Zagubionej autostrady* (w ramach ESK Wrocław 2016, reż. N. Korczakowska) na polskich scenach nie pojawiały się dotychczas spektakle bezpośrednio inspirowane twórczością autora *Dzikości serca*. Ostatnia wizyta Davida Lyncha w Polsce, podczas odbywającego się w zeszłym roku w Bydgoszczy Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Camerimage, przyczyniła się do zorganizowania dwóch ciekawych wydarzeń artystycznych w sąsiednim Toruniu. Centrum Sztuki Współczesnej zorganizowało bezprecedensową, przekrojową wystawę *David Lynch. Silence And Dynamism* (kurator Marek Żydowicz, 12.11.2017–18.02.2018), a Teatr im. Wilama Horzycy uzyskał zgodę na przygotowanie i prezentację spektaklu inspirowanego filmem *Mulholland Drive*. Przedstawienie to jest pierwszą odsłoną (z założenia mającego być powtarzany rokrocznie) projektu „kamera:teatr”, realizowanego przez toruński teatr we współpracy z organizującą Camerimage Fundacją TUMULT. W ramach projektu mają powstawać spektakle, które, zgodnie z zapowiedziami jego pomysłodawców, będą „eksplorować język artystyczny na pograniczu teatru i filmu” oraz „poszukiwać nowych sposobów komunikacji z publicznością”.

Przy odrobinie dobrej woli można uznać, że spektakl *Mulholland Drive* spełnia przytoczone założenia. Bezpośrednio inspirowany filmem Lyncha, stacijną konstrukcją naśladuje też jego fragmentaryczną, rozsypaną strukturę. Nie przeszkadza mu to jednak emocjonalnie angażować widzów, zmuszanych do twórczej interpretacji poszczególnych scen i rekonstrukcji nieoczywistej i nieliniowej fabuły. Prowokuje publiczność do aktywnego interpretowania prezentowanej opowieści. A także – niejako przy okazji – pozwala jej odkrywać zakamarki budynku, od stu czterestu lat stojącego przy toruńskim placu Teatralnym 1. Teatralna wersja *Mulholland Drive* przypomina wiele ważnych pytań sugerowanych przez film Davida Lyncha, będąc równocześnie fascynującą podróżą przez różne światy: teatr i jego poetykę, bezwzględne realia hollywoodzkiej „fabryki snów”, a także – w głębi ludzkiego umysłu, poza barierę świadomości, przez sny, mary i koszmary.

Reżyseria powierzona została trojgu twórców filmowych, niemających wcześniejszego doświadczenia teatralnego. Każdy z nich odpowiadał za jedną z trzech części spektaklu. Zaraz po przekroczeniu progu teatru potencjalna publiczność zostaje podzielna na grupy. Zanim wyruszy w intrygującą

podróż korytarzami oświetlonymi przytłumionym światłem, do ukrytych na co dzień sal, w których prezentowane będą różniące się od siebie treścią i nastrojem sekwencje zdarzeń, na widowni dużej sceny odbywa się krótki prolog. Kilka charakterystycznych elementów – bordowa kurtyna, subtelne światło, muzyka Angelo Badalamentiego – wytwarza klimat typowy dla filmów Lyncha. Intrygująca kobieta w trzech językach wita gości Klubu Silencio, po czym każda grupa rusza wskazaną drogą. Fragmenty opowieści łączą pojawiające się w nich postaci – prezentowane w odmiennych sytuacjach i ujawniające różne cechy, grane przez różnych aktorów, a jednak rozpoznawalne. Fragmentaryczna struktura opowiadanej historii domaga się indywidualnych, jednostkowych rekonstrukcji.

W sali prób, grającej mieszkanie jej ciotki, pojawia się Betty (Julia Sobiesiak), która właśnie przyjechała do Hollywood. Młoda, nieco naiwna dziewczyna marzy o karierze filmowej. Poznaje demoniczną Coco (Maria Kierzkowska) i anielską, nieobecną duchem Luise Bonner (Jolanta Teska) – aktorkę, której sława przebrzmiała przed laty. Stylizacja siedzących przed wielkim lustrem i raczących się bourbonem kobiet sugeruje, że reżyserowana przez Katarzynę Trzaskę część, zatytułowana właśnie Betty, nawiązuje do moralitetu. Choć sekwencja zdarzeń przekracza utrwalone przez tradycję ramy tego gatunku, dobro walczy tu ze złem, a Betty niemal natychmiast – wraz z pojawieniem się zagubionej, cierpiącej na amnezję Rity (Miroslawa Sobik) – zostaje wystawiona na próbę. Julia Sobiesiak znakomicie wykorzystuje swoje predyspozycje, a grana przez nią postać przekonująco zapomina o ostrzeżeniu wypowiedzianym przez Coco: „Tu nikt nie jest tym, kim wydaje się być na pierwszy rzut oka”. Dalszy rozwój zdarzeń przyniesie niespodziewane zabójstwo, kradzież tożsamości, szansę na karierę, zawiedzione nadzieje... Wszystko w aurze niesamowitości, która dla Lyncha jest normą.

W drodze do kolejnej przestrzeni widzowie spotykają sekretarkę, która w dowcipnej etiudzie walczy z baterią aparatów telefonicznych. Próbuje dowiedzieć się, dlaczego zablokowane zostały wszystkie karty i konta Adama, reżysera filmowego. Aranżacja znajdującej się w podziemiach teatru salki przypomina zaniedbane mieszkanie. Za oknem pada deszcz, a apatyczna blondynka (kolejne wcielenie Betty – Joanna Rozkosz) wspomina namiętne chwile spędzone tu z inną kobietą. Zawiedzione uczucia, beznadzieja samotności, zazdrość i wzbierająca nienawiść są źródłem emocjonalnych impulsów, którym podlega. „Teraz wyglądasz jak ktoś zupełnie inny” – mówi do kochanki, kiedy ta zakłada kolorową perukę. Publiczność domyśla się już, że postacie mogą zmieniać tożsamości, a aktorki – role. Zresztą w tej części spektaklu, która wyreżyserowana została przez Edytę Wróblewską, temat „roli” prezentowany jest z różnych perspektyw i punktów widzenia.

Zanim nastąpi ostatnia zmiana miejsca prezentacji, w teatralnym korytarzu Łukasz Ignasiński zaprosi kobiety do partnerowania mu w próbie sceny, którą pamiętamy z odbywającego się wcześniej castingu. Swobodna propozycja młodego aktora zachęca panie do spróbowania swoich sił, choć wiedzą, z jakimi niebezpieczeństwami musiała zmierzyć się Betty. Jego udana improwizacja na tle otwartości i inwencji amateerek znakomicie bawi i rozluźnia atmosferę. Po chwili jednak widzowie idą dalej, do teatralnego foyer. Tu stają się świadkami kawiarnianego spotkania czterech mężczyzn. W jego czasie Adam (Bartosz Woźny) stopniowo traci pewność siebie, a chwilę później wszystko, co posiadał (łącznie z żoną, romansującą z facetem czyszczącym baseny). Zanim przestanie panować nad emocjami, rozegra się słynna scena próbowania espresso przez – tajemniczego i wszechwładnego – Luigiego (Grzegorz Wiśniewski). Chociaż także w tej części teatralnej wersji *Mulholland Drive* jest spory potencjał wykorzystania nastroju, jego odczucie nie jest tak wyraźne, jak w dwóch pozostałych. Maciej Marczewski nie pozwolił w pełni rozwinąć skrzydeł pracującym z nim aktorom, a styl wyreżyserowanej przez niego części zbliża się do realistycznych scenek rodzajowych. Nie jest to mocny zarzut – przecież od takiej stylistyki nie stroni także David Lynch.

Osiągnięta skromnymi środkami afektywność najlepszych filmów twórcy *Twin Peaks* od dawna

prowokowała mnie do zastanowienia, czy – stosując podobne metody – porównywalne efekty osiągnąć można i w teatrze. Sam Lynch często wykorzystuje motyw sceny, będącej w jego filmach tajemniczym, zawieszonym poza czasem i przestrzenią miejscem. Na niej odkryć można niejednoznaczność i zmienną, a przez to właśnie prawdziwą, naturę ludzi i zdarzeń. Zrealizowany w Toruniu spektakl *Mulholland Drive* z powodzeniem wprowadza specyficzny, lynchowski nastrój. Jego realizatorzy wyszli poza ramę scenicznego pudełka, w przestrzeń i zakamarki budynku teatralnego. Zwiększyło to plastyczność ich widowiska, uwieloznaczyło je i przydało mu tajemniczości. Stworzyli światy, w których rozpoznać można różne zakresy sennego marzenia – od optymistycznej wizji bliskiego spełnienia marzeń, przez abstrakcyjne rozwiązania i zawiedzione nadzieje, po koszmar wypełniających się obaw.

Toruński spektakl skraca i nieco modyfikuje fabułę filmowego pierwowzoru, ale znacząco jej nie zmienia. Najważniejsza różnica pojawia się za sprawą specyfiki teatralnego medium. Zdystansowane spojrzenie, nienarzucająca określonego punktu widzenia symultaniczność prezentacji, ale także pomysłowe intermedia pozwoliły na wyzyskanie napięcia rodzącego się pomiędzy emocjonalnym utożsamieniem widzów z postaciami spektaklu a dystansem wobec nich typowym dla zdarzeń w teatralnej ramie umowności. W pracę nad inscenizacją *Mulholland Drive* zaangażowani zostali niemal wszyscy członkowie toruńskiego zespołu artystycznego. Im właśnie za kreacje znakomitych, niejednoznacznych ról należą się największe gratulacje. Szczególne – dla aktorek odgrywających pierwszoplanowe postaci kobiece. Strzałem w dziesiątkę było obsadzenie Julii Sobiesiak, Joanny Rozkosz, Mirosławy Sobik i Matyldy Podfilipskiej. Łukasz Ignasiński, Bartosz Woźny i Tomasz Mycan znakomicie dotrzymali kroku koleżankom. Ale do sukcesu tego świetnie poprowadzonego widowiska przyczyniły się niemal wszystkie aktorki i aktorzy biorący w nim udział. Znakomicie, że udało się doprowadzić do premiery tego spektaklu. Połączenie współczesnej – ambitnej, ale równocześnie popularnej – inspiracji z niezbyt rewolucyjnym, ale jednak poszukującym formalnie sposobem inscenizacji wskazuje ciekawy kierunek pracy twórczej. Może toruński Teatr Horzycy zainspiruje w ten sposób inne, nieco zagubione, niegotowe jeszcze na wywrotowe manifestacje, ale skłonne ambitnie poszukiwać własnej drogi artystycznej sceny?

Piotr Dobrowolski
teatralny.pl
19-02-2018